

Tadeusz Makowiecki

PANI ZOSIA



Towarzystwo Bibliofilów im. J. Lelewela
w Toruniu
1988

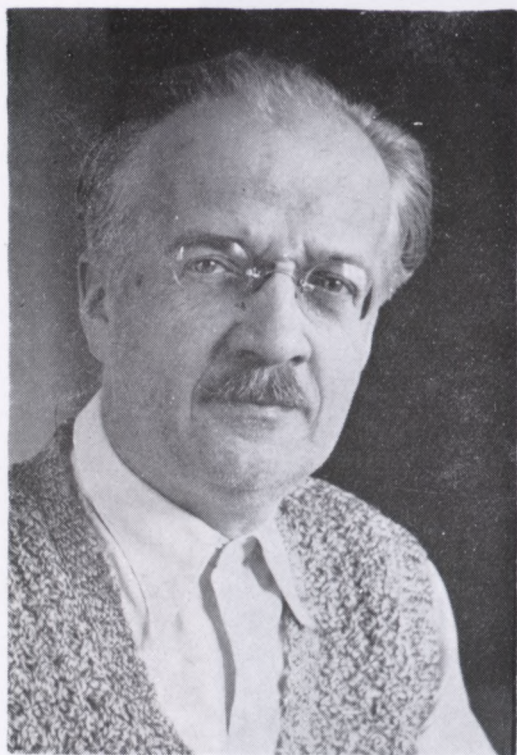


14505



Portrait of the author

Portrait of the author
© Toronto
1988



Tadeusz Makowiecki

14505

Tadeusz Makowiecki

PANI ZOSIA

Wstęp i notę biograficzną napisała
Teresa Friedelówna



Towarzystwo Bibliofilów im. J. Lelewela
w Toruniu
1988

625372



E. 158/89

POEMAT O NIESZCZĘŚLIWYCH LOSACH
MICKIEWICZOWSKICH BOHATERÓW

*Epepeja kończy się zawsze tam,
gdzie się zaczynają nieszczęścia bohaterów*

(A. Mickiewicz,
Literatura słowiańska)

Swój poemat *Pani Zosia*, zamierzony czy nawet może rozpoczęty przed 1939 rokiem, Tadeusz Makowiecki poddawał w latach wojennych i powojennych licznym i głębokim przemianom. Przeżycia autora oraz jego wyniesione z tego okresu doświadczenia nie pozostały obojętne dla utworu, dla emanującej z niego atmosfery.

Dopiero u schyłku zimy 1948 albo 1949 roku Makowiecki zdecydował się odczytać po raz pierwszy *Panią Zosię* szerszemu gronu przyjaciół. Czesław Zgorzelski, uczestnik owego spotkania, podając tę orientującą w czasie, lecz mało precyzyjną datę, wspomina, że było to „w parę miesięcy po śmierci (...) matki Profesora”. Fakt to nie bez znaczenia, bo właśnie jej pamięci utwór został zadedykowany.

Drukiem ukazał się poemat dotąd trzykrotnie; nastąpiło to jednak dopiero po śmierci autora. Pierwsze wydanie – z 1952 – nosi na sobie szczególne signum temporis, *Zeszyty Wrocławskie* bowiem podały utwór nie tylko pod zmienionym tytułem – *W Soplicowie po latach*, ale i skrócony o końcowych siedemnaście wersów. W kilka lat później zamieszczając poemat Makowieckiego w antologii *Adam Mickiewicz w poezji polskiej i obcej* (Wrocław 1961), Jerzy Starnawski oparł się na materiałach dostarczonych przez rodzinę autora. W odróżnieniu od poprzedniego wydania zachował oryginalny tytuł, sprostował drobne usterki tekstu i w żadnym miejscu go nie uszczuplił, we wstępie zaś nazwał go „trzynastą pieśnią epepei litewskiej”. W identycznej postaci utwór został przedrukowany w opracowanym przez Czesława Niedzielskiego *Wyborze wierszy* Tadeusza Makowieckiego (Gdynia 1966).

Oryginalna twórczość poetycka Tadeusza Makowieckiego nie jest szeroko znana i pozostaje na marginesie jego naukowego piarstwa z zakresu historii literatury i historii sztuki. Nie wykroczyła zasadniczo poza krąg profesjonalistów oraz osób bezpośrednio związanych z osobą autora. To środowisko jednak przyjęło ją nie tylko z zainteresowaniem, prawdziwym uznaniem, ale i ze szczerym wzruszeniem. Zwłaszcza *Pani Zosia*, utwór, który wysuwa się na czoło poetyckich dokonań Makowieckiego, sprowokowała wypowiedzi kilku wytrawnych znawców literackich zjawisk. Znaleźli się wśród nich Henryk Elzenberg, Kazimierz Wyka, Czesław Zgorzelski. Żywo zajęty poematem musiał być Tadeusz Mikulski, skoro zamieścił go w *Zeszytach Wrocławskich*, których był redaktorem.

Poemat *Pani Zosia* najogólniej można scharakteryzować jako kontynuację *Pana Tadeusza*. W swoich nawiązaniach do poetyckiej twórczości Mickiewicza poemat nie jest utworem wyjątkowym. Nie jest również jedyną znaną kontynuacją Mickiewiczowskiej epepei, lecz jednym z czterech tego rodzaju poetyckich przedsięwzięć (nie licząc utrzymanego w żartobliwej konwencji *Listu Telimeny z tamtego świata* Erazma Pil-tza). Otwierają ten szereg obszerne i piękne fragmenty poetyckie, które jeszcze za życia Mickiewicza, w latach 1846–47, napisał Juliusz Słowacki. Wiek XX przyniósł *Zimę 1812 roku* Kazimierza Laskowskiego, *Złotą chorągiew (Pieśń XI. Sybir)* Edwarda Ligockiego i w końcu *Panią Zosię*. Próby tworzenia kontynuacji, dopisywania epilogów do *Pana Tadeusza* przez innych poetów to wyraźne dowody fascynacji utworem, najczęściej zaś fascynacji połączonej z wielkim do niego przywiązaniem. Szukając uzasadnienia tych poetyckich poczynań, wskazuje się niekiedy na chęć rozwinięcia i ukazania dalszych losów Mickiewiczowskich postaci. Hipoteza taka wydaje się dość powierzchowna, bo *Pan Tadeusz* nie tak znów bardzo intryguje dziejami swoich bohaterów, które przez poetę potraktowane zostały na sposób romantyczny, bez zbytej troski o pełną i uporządkowaną sekwencję. Toteż bardziej przekonujące jest przypuszczenie, że kontynuacje *Pana Tadeusza* powstały pod wpływem bolesnego kontrastu między promiennym finałem ostatniej księgi epepei a tragicznymi wydarzeniami, które wkrótce miały się stać udziałem polskiego narodu, a których

ostatnia księga wcale nie zapowiada. Bo przecież w Soplicowie w pogodny wieczór

Słońce spuściło głowę, obłok zasunęło,
I raz ciepłym powiewem westchnąwszy – usnęło.
A szlachta ciągle pije i wiwaty wznosi
Napoleona, Wodzów, Tadeusza, Zosi,
Wreszcie z kolei wszystkich trzech par zaręczonych,
Wszystkich gości obecnych, wszystkich zaproszonych,
Wszystkich przyjaciół, których kto żywych pamięta,
I których zmarłych pamięć pozostała święta!

(PT XII 854-861)

Znamienny jest fakt, że najłagodniej to szczęśliwe, pogodne zakończenie *Pana Tadeusza* potraktował Słowacki. Poeci, którym wypadło żyć w czasach późniejszych, wspomniany kontrast między obrazem poetyckim a bliską mu chronologicznie prawdą historyczną widzieli ostrzej, wzbogaceni czy raczej obciążeni historycznym doświadczeniem narodu i swoim własnym. Tak też rzecz została przedstawiona w poemacie Tadeusza Makowieckiego.

Utwór ten uderza z jednej strony licznymi i bezpośrednimi nawiązaniem do *Pana Tadeusza*, które zauważa się przy pobieżnej nawet lekturze. Z drugiej strony dostrzega się, że analogie te służą przede wszystkim przeciwstawieniu i oddzieleniu poematu od epopei. W najmniejszym stopniu zaznacza się to w samym tytule – *Pani Zosia*, w tytule jak *Pan Tadeusz* uderzająco prostym, poza którym – także podobnie – kryje się bogactwo poetyckiego przekazu. Wprowadzenie tego samego miejsca akcji, dość zbliżonego czasu akcji i osadzenie na ich tle znanych, Mickiewiczowskich postaci to tylko pozorne podobieństwa, bo w istocie Soplicowo jest już miejscem zupełnie odmienionym przez wydarzenia kilku zaledwie lat i odmienieni, jak gdyby należący do innego pokolenia są też bohaterowie poematu. Napływające w miarę posuwania lektury *Pani Zosi* obrazy, które ewokują w pamięci podobne fragmenty *Pana Tadeusza*, są wyraźnie z nimi skontrastowane, np. przyjazd Hrabiego do Soplicowa i przyjazd Tadeusza, wejście Hrabiego do pustej komnaty i wejście Tadeusza do pokoiku Zosi itd.

Również tylko pozorne jest podporządkowanie się Makowieckiego tradycji wersyfikacyjnej. Jego trzynastozgłoskowiec swoim łamanym, nerwowym rytmem nie nawiązuje, lecz właśnie odgradza się od epickiej rozlewności Mickiewiczowskiego wiersza.

Ową grę podobieństw rzeczywistych i pozornych przeprowadził Tadeusz Makowiecki ze znanstwem wytrawnego historyka literatury i zarazem z delikatnością poety. Jego utwór nie jest bezpośrednią kontynuacją *Pana Tadeusza*. Jest subtelną, rozbudowaną aluzją literacką, utkaną co prawda z motywów Mickiewiczowskich, lecz posiadającą własną, głęboką wizję artystyczną.

Akcja poematu, raczej wątpliwa, zamknięta została w czasowych ramach jednego listopadowego wieczoru 1818 roku. Do Soplicowa przyjeżdża nie zapowiedziany gość, „pan chudy”, w którym czytelnik wkrótce rozpoznaje Hrabiego. Jednak poza tą zewnętrzną cechą jakże niewiele łączy go z dawnym Hrabią. To już nie śmieszny kosmopolita i pełen zabawnej przesady preromantyk, lecz żarliwy patriota i uznany poeta. Nieprzypadkowo też autor obdarzył go rysami przypominającymi postać Słowackiego. Hrabia przybył na Litwę zapewne jako emisariusz „za nieswoim paszportem”, ze świadomością, że jest to pobyt ostatni. Zapowiedź jego emigracyjnego losu zawarta jest w rzuconym później cudzoziemskim słowie „nevermore” – „nigdy więcej”. Hrabia – jakkolwiek tak bardzo na korzyść odmieniony – kilka razy w czasie spędzonego w Soplicowie wieczoru będzie miał okazję zaprezentować arystokratyczny chłód i dystans.

W opustoszałym, po części jeszcze zniszczonym dworze pierwszą napotkaną osobą jest Sędzia. W ciągu minionych lat wojna, zniszczenia, śmierć Tadeusza podkopały jego siły, zmieniając go w słabego starca. Hrabia relacjonuje okoliczności śmierci Tadeusza w bitwie pod Lipskiem i oddaje strzęp jego szkaplerza. Trudno tu nie pamiętać sceny pożegnania Tadeusza z Zosią, kiedy z jej ust padły niewyszukane, serdeczne słowa:

Ja Panu na drogę
Dam podarunek mały i także przestrozę :

Niechaj Pan zawsze z sobą relikwije nosi
I ten obrazek, a niech Pan pamięta o Zosi.
Niech Pana Pan Bóg w zdrowiu i szczęściu prowadzi,
I niech prędko szczęśliwie do nas odprowadzi.

(PT X 330-335)

Teraz jednak szczegóły dotyczące śmiertelnego zranienia Tadeusza mają być przed Zosią zachowane w tajemnicy. Hrabia traktuje chwilami Sędziego serdecznie i współczująco. Jednak w drodze do Soplicowa dotarła już do niego wiadomość o małżeństwie Zosi z Sakiem Dobrzyńskim. Przybywając z zagranicy Hrabia może nawet nie zdaje sobie sprawy jak dalece wydarzenia polityczne wstrząsnęły dawną strukturą społeczną. To też surowo ocenia megalomanię Zosi i pełen jest o to pretensji do Sędziego, do samej Zosi, którą spodziewał się zastać narzeczoną-wdową i którą ironicznie w myślach nazywa „polską Penelopą”. Tymczasem Zosia poddała się prośbom Sędziego, może uznając jego racje, gdy w małżeństwie z Sakiem dojrzał jedyny ratunek dla ziemi, w której instynktownie dostrzegł ostatnią ostoję czy redutę.

Teraz kolej na spotkanie Hrabiego z pozostałymi mieszkańcami dworu w Soplicowie. Jest to przede wszystkim spotkanie z Zosią, tak jak uścisk jej dłoni „serdeczną i bezbronną”. A przecież jej zasługą jest budowanie domu w splądrowanym dworze, wnoszenie do niego wartości kulturalnych, wypełnianie go atmosferą ciepła, czystości i dobroci. I tu wprowadza poeta pierwszą zapowiedź wzruszającego finału poematu, każąc odczuć Hrabiemu wewnętrzny odruch głębokiej czci wobec Zosi: „Chciał przyklęknąć u drzwi, chciał wyszeptać stąd: Ave!”. Tak bowiem jak w *Panu Tadeuszu* obecność Hrabiego sprawiała, że nad dziewczęcą głową Zosi zapalał się blask poezji, tak tu również dzięki niemu, w jego obecności i przez pryzmat jego nieoczekiwanego wzruszenia dociera do nas wzniosłość trudnego wyboru, którego dokonała Zosia. Drugi sygnał sakralizacji jej ofiary i jej przyszłego macierzyństwa wystąpi nieco dalej, kiedy „Ona świecę ujęła w swe palce stulone W kielich święty i idzie – obrzędem w pokoje”.

U boku Zosi stoi Sak, „Józef” – jak to bluźnierczo pomyśli Hrabia. Jak dawniej z grubsza ciosany, prymitywny, lecz dla

żony czuły i delikatny. Mężczyzna silny, lecz okaleczony na wojnie. W jednorękim żołnierzu spod Berezyny Hrabia rozpoznał tego, który uratował mu życie wyprowadzając z bitewnego zamętu.

Akcja niespiesznie posuwa się dalej. Wspólna wieczerza i rozmowa przy stole:

Z jednej strony – rozmowa płynęła jak Arno,
Gdzie w błękit schodzą wille, posągi najcichsze,
Z drugiej – jak most – przez kramy, wagi, worki, spichrze...

To Zosia słucha i bawi gościa, a Sędzia z Sakiem toczą codzienną rozmowę o gospodarstwie. Dwa bardzo ważne momenty wystąpiły w czasie tej wieczerzy spożywanej przez czworo tak różnych ludzi. Owe dwa momenty wyraźnie ich zespalają. Jednym jest recytowanie przez Zosię poezji Hrabiego, pełnych zawołanych treści patriotycznych, z dynamicznym refrenem „Ja śpieszę, Andromedo! Walczę – Andromedo!!”. Drugą ważką chwilą jest wzniesienie toastu, który Hrabia rozpoczyna słowami „Niech żyje...”, a każdy ze współbiesiadników uzupełnia toast swoją myślą: wolność – poezja – ziemia rodzinna – dusza. Myśli te w końcu zbiera Hrabia wszechogarniającym słowem: Polska!

Gość tak jak nagle się w Soplicowie zjawił, tak i nagle wyjeżdża. Jeszcze niezbyt przyjemna wymiana zdań z Sędzią, w którym walczy dawna gościnność z lękiem przed zatrzymaniem na noc niebezpiecznego gościa. Jeszcze gwałtowne starcie z Sakiem, zawiedzionym w nadziei na rychłą wojnę. Jeszcze zawiła, wytworna rozmowa z Zosią o atmosferze i nastrojach w Kraju. Wreszcie na ganku w czasie oczekiwania na konie następuje ta jedyna chwila, kiedy Zosia może postawić dwa pytania:

Oddech jej pierś cofnął i tchnął ni łzom, ni smutkom:
„Czy bardzo cierpiał?” Cisza i szept w ciszy: „Krótko” (...)
Zosia oddech znów wchłonie i słowa przybliży
Do serca. Z odetchnieniem znów na wargach stoją:
„Ma grób swój tam?” – „I krzyż ma swój – i brzozę swoją”.
Zosia kolumnę ganku gładzi lekko, lekko,
Hrabia przez mrok na drogę spogląda daleką.

Widzimy Zosię nie tylko pamiętającą swoją dawną miłość, ale też Zosię, lojalną małżonkę Saka, w którego obecności nie pytała o Tadeusza, i też Zosię dzielną cichym bohaterstwem. Wiedziała więc ona doskonale, co sprowadziło Hrabiego do Soplicowa. Przez cały wieczór spełniając obowiązki troskliwej i uprzejmej pani domu, nosiła w sobie dwa bolesne pytania i czekała okazji, aby je zadać.

Po odjeździe Hrabiego dwór Soplicowski wydaje się układać do snu. Przystajemy go oglądać oczami Hrabiego. Pora, by spojrzeć z pozycji domownika – Sędziego. Poczucie zbędności, starczy niepokój, dojmująca samotność, cały splot przygnębiających odczuć zatrzymuje go najpierw w ogrodzie, a potem panicznie gna do domu. Przez chwilę obserwuje Zosię i Saka, ich cichą codzienność – z całą świadomością swojej wobec nich obcości. To z ogrodu Sędzia ogląda Zosię, stojącą przy oknie z czołem przyciśniętym do szyby. W jego oczach przemienia się ona w przejmujący i wzruszający wizerunek Madonny, łącząc w sobie blizny na ciemnym obliczu Tej „co Jasnej broni Częstochowy” z półksiężycem rąk otulających, kołyszących Tej „co w Ostrej świeci Bramie”, z siedmiu mieczami przeszywającymi serce Matki Boskiej Bolesnej.

Ten właśnie wizerunek, synteza cierpienia i świętości, przynosi nie tylko Sędziemu, ale – jak się zdaje – i samemu pocie i czytelnikowi promień trudnej nadziei. Ona, słaba i nosząca w sobie nowe życie kobieta, będzie miała tyle sił

By wydzwigać powagę, nieść apoteozę
Twarzą w twarz wszystkim mrokom, potęgom i grozom
Przyszłości i wieczności...

Utwór Tadeusza Makowieckiego jest poematem i choćby z tego powodu nie obowiązuje w nim artystyczny kanon epopci. Nie ma w nim ani epickiej rozlewności wyrażającej się w mnogości opisów, ani rozbudowanej narracji, ani wielowątkowości. Wizja artystyczna jest skondensowana, poza końcowym fragmentem utrzymana w ciemnych barwach. Kilkugodzinne spotkanie mieszkańców samotnego dworu z zagranicznym gościem stało się dla autora pretekstem dla pokazania obrazu polskiego społeczeństwa w latach, które nastąpiły po klęsce Na-

poleona. Minęły momenty euforii i radosnego napięcia. Czas beznadziejnej udręki, który po nich nastął, wydawał się zapewne ludziom nie do zniesienia. Był stojącą zawiesiną, w której jakby na zawsze znieruchomiło koło historii.

Taka interpretacja wyłania się z losu trzech męskich bohaterów poematu – starca stojącego nad grobem, okaleczonego żołnierza, który już nie podźwignie broni, skazanego na życie na obczyźnie wrażliwego poety. Wśród smutku i przygnębienia, z którymi harmonizuje i które pogłębia listopadowa szarość i wieczorna godzina – jedynym jaśniejszym akcentem jest zatem Zosia. Daje ona nie tylko rękojmię biologicznego odrodzenia się narodu. Jest nadto soczewką, skupiającą tradycję rodzinną, narodową, religijną. Gdy na świat przyjdzie jej syn, fizyczny syn Saka, lecz za przyzwoleniem męża – duchowy syn Tadeusza, Zosia może potrafi natchnąć go pragnieniem wolności i dzięki swojej wewnętrznej sile pchnąć w życie z okrzykiem: „Ja śpieszę, Andromedo! Walczę, Andromedo – Polsko!”.



PANI ZOSIA

Pamięci Matki – Zofii

Właśnie bryką w jednego konika, żydowską,
Co ją biedą lub raczej biedką, niby troską
Zwa, bo męczy i jęczy, i na boki chyli
W takt duhy, która skacze ponad łeb kobyli,
Trząśł się Żyd, grzyb brodaty, garbaty, laciaty.
Trząśł się za nim pan chudy. Musiał tu przed laty
Bywać, gdyż coraz szyję wyciągał z paltotu
Długą; a konik właśnie mijal koło płotu
Sad. Drzewa szare, stare, w tysiączne ramiony
Ciągnęły się do nieba puste, liść strącony
Gnoił się w trawach czarny, kiedy gnuśnie opadł.
Podróżny patrzył, z ręką przy szyi (listopad).
Wtem przez kraty gałęzi i przez szmaty liści
Rude, we mgłę z wilgoci, niż obłok srebrzyściej,
Czyściej niż oddech i lżej, tuż, tuż ponad ziemią
Jasność się przesuwawała, zrów ją drzewa cienia,
Znów skroś liście przechodzi jak przez czapy lisie,
Księżycowym poblaskiem mży, to znowu ćmi się,
Aż kiedy się topole półkolem rozwiały –
Stanął przed nimi w głębi, niby miesiąc biały,
Kiedy schodzi pod ziemię, w chmur zapada wieńcu
Do pół jeszcze widny – dwór, na wielkim dziedzińcu
Sam. Pan zszedł, uroczysty, czapkę w rękę trzyma,
Idzie, nie wojażera krokiem, lecz pielgrzyma,
Który dziw, że nie klęka, bo odchylił głowę
I z piersi dobył półjęk, który miał być słowem:
„Aaa”.

Z wolna ręką przewędrował czoło
Ruchem zdjęcia pajęczyn, rozejrzał się wkoło,
Szedł z każdym krokiem prostszy, zimniejszy, surowy,
Przez schody, drzwi pchnął i w mrok wgłębił do połowy,
Powiało pustką, chłodem, ciszą tak umarłą,
Jakby się tu na wieczność wspomnienie zawarło.

Jakby się tu kamienną podnosiło płytę
Nad jamą famlijną, gdzie w ceglach ukryte
Wieka... Aż od dna zmierzchu, spod jednego wieka
Wyszły oczy pół-sowy, pół-psa, pół-człowieka:
W lewo sunęła postać, gdzie przymknięte dzwierzce
Nagle otwarła, nagle znikła nietoperzem,
Tylko pisk mdłym chichotem zmilkł pośród baranic.
Podróżny paltot zrzucił, nie baczący na nic
Wszedł. W izbie jeszcze pomrok od okna szarawy
Bielił ściany na siwo, niżej proste ławy.
Pod oknem biurko, ot, jak w dworskiej kancelarii,
I dym jeszcze, i klęcznik pod obrazem Marii
Pusty. Podróżny znowu grymas złej ironii,
Złośliwą pajęczynę zdjął ręką ze skroni,
Patrzył w plamy na murach. Gdy wtem za nim z boku
Oddech doszedł zmęczony i suwanie kroku
Ostrożne. Cień zgarbiony w drzwiach, ciężki i stary,
Okrągła głowa, nieufnie patrzył znad czamary,
Podszedł, nagle szponami palce rozczapierzył,
Jakby chciał chwycić, nie mógł, cofnął się, nie wierzył:
„Tyżeś to, Hrabio?” Oczy wysadził z orbity:
„Hrabia! Gościu kochany! Gościu znakomity!”
Już biegł i ręce drżące w blask wyciągał z cienia,
Zarzucił. Hrabia twarzą przylgnął do ramienia,
Poczuł tytoń, lży, szorstkość sukna, zapach wosku
I że ktoś tak po prostu, tak go po ojcowsku
Ogarnął, rozdygotał, szukał starczą głową
Podpory, puścił znowu i objął na nowo.
Wreszcie cofnął krok, spojrzął: „Wszyscy pańscy święci!
Skądżeś, Hrabio, i odkąd?” – „Dziś, Prosto z Florencji.”
Hrabia znów się do sztywnej postawy przerzuca.
Sędzia śmiech miał pęknięty i bez echa płuca:
„Ot, gdybym dzisiaj przybył, choćby z Nowogródka,
Jeszcze by ta odpowiedź była mi przykrótka.
Z Florencji... proszę, proszę – i z innego tonu –
Ale gdzie to jesteśmy? Proszę do salonu!”
Hrabia wstrzymał go: „Może tu, do interesów
Lepsze miejsce?” Lecz Sędzia: „O, do kroćset biesów!
Dosyć spraw do południa, a to już odwieczesz.
Przecież mnie nie odjedziesz, Hrabio, nie ucieczesz.
Musimy się nacieszyć za lat tyle... ile?”
Przymilkł, rzekłbyś, że nagle stanął przy mogile
Tych lat i dni, i ludzi, których dzisiaj nie ma.
Bo ręce wznosił, chciał może rękami obiema
Włosy rwać, lecz je strzepnął niecierpliwie gestem.
„Ot, stary – ciężko sapał – widzisz, jaki jestem

Stary. Jużem zapomniał, co gospodarz czyni.
Gość w dom, Bóg w dom, lecz wprzód powiedz gospodyni...
Nie, nie Hrabio – tu ruszył paluchem – mnie wierzaj.
Gdy niedziela – nie dzielaj, gdy wieczór – wieczeraj.”
Zaśmiał się, szedł, coś ręką precz od siebie pędził.
Już w sieniach grzmiał i huczał, i mrucał, i zrządził,
Aż uciął. Hrabia w izbie sam został pochmurny.
Patrzył w ziemię, ale był coraz bardziej górny,
On także zobaczył grób. W izbie pobielanej
Zakrystią oddychały, odpychały ściany
Przez kurz i zimę. Wiatr gdzieś konary zatarga,
Ale tu nie dochodzi ani szum, ni skarga –
Spokój głuchy, kamienny. Po niemałej chwili
Sędzia wrócił, długo tak stali, nie mówili.
Gospodarz niespokojnie gościa okiem badał,
O wieczery napomknął, ów nie odpowiadał.
Aż zaczął: „Powiedziałem Zosi, więc się cieszy”.
Wtedy Hrabia dopiero: „I mnie się też spieszy
Do niej ogromnie...” Sędzia aż drgnął sercem na to,
Gdy go ten głos obryzgał strugą lodowatą.
A ów mówił: „Gdym jechał do niedoszłej wdowy,
W miasteczku dowiedziałem się o synowcowej
Niedoszłej” – tyle wpelzło do gardła goryczy,
Że słowo w krtani chrapie, a na zębach syczy.
„O polska Penolopo! Wierna Heloizo!
Kobieto-Polko! Ty znasz lekarstwa od zgryzot.
Młoda żonko Saka!...” Sędzia go okiem zmierzył
Spode łba, nagle w barach rozdał się, rozszerzył
Dębem, który już szumiał jesieni czterysta,
A trwa, stoi. „Nie, Hrabio, nie! Ona jest czysta.”
I ramiona aż trzasły, na grzbiecie załamał,
I ruszył w skos przez izbę, targał się i łamał,
Nawracał, mrucał, chodzi człapaniem niedźwiedzi,
Nie baczył, czy kto patrzy, nie patrzył, czy śledzi,
Aż podszedł i tym szeptem, co się w gardło wrzyna,
Odetchnął w zmierzch, wprost: „Moja, moja tylko wina”.
I naraz zmalął dziwnie, malął każdej chwili,
Oburącz wparł się w biurko, coraz niżej chyli:
„Gdy spod Lipska tu przyszła wieść o Tadeuszu
I o klęsce... puściłem pierwszą mimo uszu.
Przyszła trzecia, dziesiąta... Dostyc, Hrabio, dostyc!
Cóż ty wiesz? Te dni, lata, które trzeba znosić,
Ten dwór... ona w pokoju swoim leży krzyżem,
A ja błędę tu sam, sam, dałą czy podbliżem,
Sam we wszystkich pokojach, sam do końca świata...
Sak przyjechał z niewoli. Mijały trzy lata.

Trzy lata, tysiąc jeden nocy, co noc baśnie:
A gdyby? A mogłoby? A jeśli? A właśnie?
Jeszcze rok. Sak ją kochał. Ona do klasztoru
Chciała iść... a ja? cóż ja? upiór tego dworu!
Brogi, ploty w ruinie. Wiem to i przyznaję:
Całą resztą sił sprząłem, związałem ich wzajem,
Zakląłem, wymodliłem, wyskamlalem... czemu?
Ani ona mi córką, anim ojciec jemu;
Czemu? Pytam się. Nie wiem – i w piersi się biję,
Moja to, moja wina... ale ja nią żyję
I oni – dyszał ciężko wciąż – i Soplicowo!
Oto spowiedź przed tobą – teraz twoje słowo...”
Tu oczy podniósł ciężkie, rybie z tej otchłani
Przez zmierzch ku człowiekowi, który trzymał na niej
Sieć – milczenie. Trwał czarny, aż w tę pustkę ciemną
„Spowiedź? – wyszeptał z mroku – chyba nie przede mną”.
Znów cisza długa, straszna, a z niej jak sumienia
Głos – ten szept nieludzki szedł aż od dna milczenia:
„A innych grzechów nie masz? Chcesz przyjąć komuniją?
Mam ją – cichszy wargami szept – ale komu ją
Dam?” Potem coś wydobył. Sędzia wziął jak gdyby
Świętość ten zwitek mały, szedł wolno do szyby,
Jeszcze szedł, nagle pojał. Jakby w piersi postrzał
Zgiął się, przelamał w sobie: ból w jęk się zaostbrał,
W szloch pękł. Rozpoznał szkaplerz, Józefa, Maryję...
W ten wieczór Zosia jemu wkładała na szyję...
Padł na klęcznik i tulił ten strzęp. Do ust, twarzy,
Hrabia chciał mówić, nie mógł. Jakżeż się odważy
Głosić resztę? Więc głosem tony oschle bierze:
„Po czwartej szarży – wtedy – zjeżdżam ku Elsterze,
Żołnierze, patrzę, niosą rotmistrza. Jak chusta.
Kula w płucach. Chciał mówić – krew sklejała usta.
Wskazał szkaplerz, uśmiechnął się i tak daleko
Zapatrzył, że oddech wstrzymał i już powieką
Nie drgnął, nie odetchnął. Wtem z sztabem pióropuszy
Książę Józef nadjeżdża, salutuje, ruszy...
Za godzinę był z nim, tam. Lecz Tadeusz pierwszy,
Pierwszy, nawet – tam. Oto, Sędzio, jest najszczęśliwszy
Raport. A także i odpowiedź na twe słowa”.
Sędzia wstał, trzęsła mu się biedna, siwa głowa,
Patrzył: jesion pod oknem stoi w płaszczu, czarny.
A chmury dymią, dymią, dymią jak ofiarny
Stos – choć ołtarz niewidny – kłębam się dymią,
Krą roztopioną płyną, cieniem, mgłą olbrzymią,
W pustkę, w nic napływają wciąż nowe, a wieczne,
Te same mleczne dymy, dymy bezsłoneczne,

Powietrzne. Sędzia wolno odwrócił się w ciszy –
W drzwiach – proszę do wieczery. – Starczo piersią dyszy.
A ująwszy Hrabiego palcami pod ramię:
„Nic, ani słowa przed nią – prosił – to ją złamie,
Nie przeżyje...” I gościa sterował z półcieni,
Gdzie z izb dalekich światło wpływało do sieni
Drżeniem ścieżki. W nurt weszli tej złotawej strugi,
Minęli sień i pokój mroczny, potem drugi.
Przez dywan, ciszę, wieczór szli jak do choinki:
Wieje grzaną żywicą – żarzą się kominki –
Miodem i rodzynekami. Gdzieś jarzą się świeczki;
Przez ciemność idą smugą pelgającej steczki
W ciepło tkanin na ścianach, w tykanie zegara,
W dzieciństwo, które w kłębek, w puch zwinąć się stara.
By prześnić cień przy babci dobrym szalu z włóczki.
Tę ciepłą, starą miękkość pamiętają wnuczki,
Choć babci nie ma. Staną u końca podróży,
W progu tęczy świec. Hrabia oczy trochę mruży:
Poznał Zosię... Pod światło, z przymkniętą powieką,
Prosta, lekka, skroń na bok pochyliła lekko,
Szły na nią pasma ciche, ciepłe, drżące, łzawe.
Chciał przykleknąć u drzwi, chciał wyszeptać stąd: Ave!
Co zwiastować jej? Zosia oczy swoje czyste
Podniosła jasne, proste, do dna przezroczyste,
Choć zamyślonę sobą: wyszła naprzód ręką –
Poczuł ją w dłoni całą, czułą, mocną, miękką,
Serdeczną i bezbronną, a szczerą do końca.
Schylił się, dotknął wargą, lekko była drżąca...
Trzymał czujnie, ostrożnie, jak – by się nie stłukła...
Nagle – tak! – Zosia tonem zbyt była wypukła.
Zwiastowanie? – odgiął się – nie, to Nawiedziny!
Zajrzał w oczy przymknięte i w obłoczek siny
U warg. Potem wciąż bardziej prostował się chłodny,
Znow był bardzo hrabiowski i bardzo swobodny,
Rozejrzał się: Twarz obok okrągła i czerstwa,
Oczka strasznie niebieskie, więc przez myśl bluźnierstwa:
– Oto Józef – wysunął ruchem wielkopańskim
Dwa palce, siedł, zbliżał się z uśmiechem pogańskim...
Drgnął. Sak ręki nie podał. Rękaw nieruchomy
Zwisał u boku ciężki, pelen sztywnej słomy,
Lecz garścią lewą palce schwycił jak w obcegi,
Hrabia zajrzał w powieki. Dawno takiej księgi
Nie czytał; jarzyły się – nie figle szyderskie,
Żrenice mocne, wierne, uparte, żołnierskie,
Ufne aż w śmierć. A Hrabia coś sobie przypomniał,
Zajrzy w te oczy jeszcze bliżej i przytomniej.

„My się znamy...” Ale nim Sak mu odpowiedział:
„Tak, panie pułkowniku” – Hrabia wszystko wiedział:
Kłęska. Zima. Czuł jego garść pod łokciem mocną,
Śnieg kopny, drogę w lasach nieskończoną, nocną...
Aż Sak: „Czy pan pamiętasz? W łewo, jak ta sofa,
Wieś i Kozunie, pan nas tam, pod kredens cofa,
A z drzwi wylażą: dziki, armia, całe stada...”
Hrabia aż okiem błysnął i w słowa mu wpada:
„A ty, sierżancie, strzelać chciałeś!” – „Pan zabronił,
I słusznie, bo Kozak by pewnie nas dogonił.
Nas było tam czterdziestu, a ich ze trzy sotnie.”
Hrabia znów kłęskę wspomniął i jak szli samotnie:
„Berezyna!” Umilkli. A gość się nieznacznie
Skierował w stronę stołu i przepraszać zaczyna,
Że tak się, ot, zagadał z towarzyszem broni.
Sędzia patrzył uważnie, Zosia głowę kłoni,
Lecz gospodarz ocknął się i do stołu prosi.
Sak naprzeciw Sędziego, Hrabia na wprost Zosi.
Dziesięć świec wysoko się w kandelabrach jarzy,
Srebro błyska na śniegu serwet spod lichtarzy.
Hrabia noże herbowne, ciężkie, w srebrze kute,
Trącał palcem, jak jakąś zapomnianą nutę,
Rzekł z uśmiechem: „O, zacne te litewskie sztuce,
Dobre na dzicze, sarnie czy jelenie udźce,
Masywniejsze niż dzisiaj rękojeście mieczy;
Lecz ostrza tak niewinne: nikt się nie skaleczy”.
Zosia dłonią serwetę gładząc przez niechcenie:
„Pan Hrabia szydzi”. Lecz on: „Nie, właśnie że cenię
Szczerze srebro i złoto, cóż serce dopiero!”
„Tak – szybko dodał Sędzia – także lampkę szczerą,
Bo pełną”. – Tu lał wino dudniąc z głębokości
Butlą i „Pijmy zdrowie – rzekł – zamorskich gości”.
Hrabia chciał odpowiedzieć, szykuje wyrazy,
Gdy zadymią półmiski, wnoszą kaszę, zrazy,
Stawiają między sery, wędliny; jak trzeba,
Na drewnianych talerzach długie plastry chleba.
Sędzia w słowie batutę bierze gospodarza.
Zosia spuszczone okiem stół bacznie uważa;
Widzi między kieliszki, łyżki, wśród talerzy
Dłoń zwiędłą: drży i niby lek kroplami mierzy,
Znów drży. Obok Hrabiego długie, wąskie palce
Widelec, nóż, jak smyczek wodzą, zda się – walce
Sentymentalne grają, lecz tną jak lancetem
Chirurg. Dalej wypelzła twardo na serwetę
Ręka czerwona, mocna i za dwie ruchliwa –
To kruszy, tamto łamie, owo wydobywa.

Zosia zmarszczki serwety nieuchwytne gładzi,
Podnosi oczy... Hrabia rozmowę prowadzi
O Florencji: że niebo tam najbardziej włoskie,
Że jakbyś cztery karczmy władował żydowskie
Na most i drogę przebił przez ściany i kramy,
Tak się idzie przez Arno. Więc z uśmiechem damy
Pyta Zosia: „A Dawid Michała Anioła
Jak jest w słońcu?” A Hrabia „superbe!” – zawoła
I zaczął o Dianach, Giotcie, Campanilli...
Zosia błądzi oczami z ogrodów do willi:
„Znam trochę z ksiąg, z żurnalów, które mam po cioci”.
Hrabia ją oprowadza, to słońcem ozłoci,
To osrebrzy księżycem, ocieni cyprysem,
Kamelie rzuca ku niej przez talerz i misę,
Brzęknie w słowo italskie, jak w werońską tarczę.
Sędzia słuchał, lecz wkrótce kwestie gospodarcze
Podjął Sak, bo ten, chociaż Sędziego się radzi,
Widać z rozmowy, że już sam wszystko prowadzi:
Stodoły trzeba poszyć, marnie sypie ziarno...
Z jednej strony – rozmowa płynęła jak Arno,
Gdzie w błękit schodzą wille, posągi najcichsze,
Z drugiej – jak most – przez kramy, wagi, worki, spichrze...
I łączyły się słowa niespodzianym sztychem –
O polu i Apollu, o psach i o Psyche.
Właśnie gdy Hrabia księżyc witał pod Sorrento,
A słońce żagle górne złociło okrętom,
Zachodząc... Sędzia spytał: „Jak dziś zaszło słońce?”
Więc Sak: „Gdy w kaszę siwą, w naczynie kipiące
Wrzucić krąg masła, topi, rozlewa się samo,
Już żółte, bure, siwe, już cieniem i plamą –
Tak było. Teraz cały garnek zaszedł parą”.
Sposępniał Sędzia: „Mrozy będą przed Barbarą”.
Hrabia, gdy echo słowa o mgie mu przyniesie:
„Gdy tu lasem jechałem – duchy widzę w lesie:
Z mroku wilgoci widma saren czy jeleni
Zwisaly nad wykrotem, wypelzały z cieni,
Lżejsze niż puch, roily się duchami knieje,
A w górze wilkolaki wyly na zawieje.
Pamiętam, raz w Libanie wchodziłem w katedrę,
Białe burnusy w zmierzchu mijają pod cedrem...”
Mówił w oczy gwieździste, czyste Zośi. Błada
Dziwi się, prosi: „Boże! jak pan opowiada!”
A on spochmurniał: „Słowo, rzecz blaha i krucha,
Cóż słowo? Ważne jest, że ktoś, jak pani, słucha”.
Zmilkli. Tu Sędzia trącił o butlę kieliszkiem.
Hrabia z ręką pod światło, z dalekim uśmieszkiem:

„Kiedy widzę przed nami takie lampki wina,
 Pełne, skrzące... wiersz pewien mi się przypomina.
 »Przed świętym wizerunkiem – drżą lampki oliwne.
 Innym palą się trunkiem – lampki wina dziwne,
 Światelko się kołysze. – Tu i tam: z milczenia
 Tylko oliwa – w ciszę. – Wino – w krew się zmienia.
 Duch przenika naturę. – Ogień tryska z powiek.
 Podnieśmy lampki w górę! Cel – niech żyje człowiek!«
 Wybaczcie mi, że takim zamorskim toastem
 Czczę starca i żołnierza, i dziecię – niewiaścę.
 Uczta się kończy”. Ale Zosia skubiąc wety
 Zapyta: „Znamy, Hrabio, twą sławę poety –
 To był pański wiersz, prawda?” Hrabia nie zaprzeczy,
 Chce wyminać: „Ot, jakieś dawne, blahe rzeczy...”
 Ale Sędzia: „W zaściankach nawet twoje imię
 Znają. Wiersze, pisane na Alpach czy w Rzymie,
 Borem, lasem wędrują – tu straż jest omylna,
 Zosia je odpisuje z Nowogródka, Włna.
 Madrygałów nie kreślą damom do sztambucha,
 Dziś sztambuch niby bomba, dziw, że nie wybucha”.
 Tu Sak, który na Zosię patrzył, doda cichy:
 „Nie tylko wiersze, książki zwozi, kopersztychy
 Z Napolionem. Ot, cała już domu połowa
 Zrabowana przez wojnę, dziś żyje od nowa,
 Cicha, ciepła...” A Sędzia: „Babki nam przed laty
 Robiły konfitury, pikle, marynaty...
 Dziś z obrazków, z poezji robi się zapasy
 Na zimę. Co za czasy! – westchnął – nowe czasy!”
 Lecz Hrabia patrzył w Zosię; jej wielkie źrenice
 Mieniły się w płomienie, mrok i tajemnicę,
 Złote, nowe, natchnione, świetliste – jak dusza.
 Wtem spyta: „Pan pamiętasz Odę Perscusza?:
 »Którym za tobą obłąkanymi szedł drogi
 Przez piach Egiptu, żwir Samosierry, z pożogi
 W mróz i znów w ognia żar – salamandrą, feniksem,
 A tyś mi oblał ciepłą krwią nogi jak Styksem,
 Ażem zapomniał skrzydeł za górą dziesiątą,
 Com grzmiał rozkazy Pagazom, Bellerofontom,
 Aż idę krzywym w świat potykaniem się, biedą.
 I śpieszę, Andromedo! walczę – Andromedo!«”
 Hrabia zdumiony słyszał tutaj swoje hymny,
 Oczy zamknął, był błądy straszliwie i zimny.
 „Któryżś cisnął mnie, Losie, cegłom i gruzom
 Łeb ci podniosę, światu zaświecę Meduzą.
 Mędrcom i głupcom, ludom i bogom – Przekleństwo!
 Niech kamienieje tragiczną maską blażeństwo!

Za krew, co marznie, za myśl, co stygnie pod czaszką,
Za młodość... Dość! dość! nie będę błędem, igraszką...
Słysz mnie, Samotna, okuta z glazów czeredą,
Ja spieszę, Andromedo! Walczę, Andromedo!"
Podniósł się Hrabia; z bladej, trupiej jego maski
Na świat były od światła borealne blaski,
Przeciera białe skronie, zwycięża letargi,
Podnosi szkło... „Niech żyje” – wyrzuciły wargi.
Sak: „Wolność” – dopowiedzieć chciał, lecz Zosia inna
Była w szepcie: „Poezja”, a „Ziemia rodzinna” –
Myślał Sędzia, gdy Hrabia: „Dusza” – ale wyrzekł:
„Polska”. Powstali, każdy swemu sercu przyrzekł.
Milcząc do warg przytknęli cierpką woń kielicha,
Spływała w piersi czerwień, lykali ją – z cicha
Chłodem krwi... Gdzieś godzina wybiła głęboka,
A Sędzia rzekł chrapliwie: „Znam ja tego smoka,
Co się zowie – Czas. On to zęby na nas szczyrzy.
Że tu wolność, poezja była – kto uwierzy,
Gdyby nas pożarł. Tysiąc lat męk, zwycięstw wtedy.
Cóż? Hrabio! Ja rozumiem twą pieśń Andromedy,
Bo patrzę w ślepią czasu...” Hrabia wznosił do czoła
Rękę: „Czas” – szepnął, potem spojrział dookoła:
„Czas na mnie” i zwrócił się wprost do gospodarza,
Prosi o konie, zaraz. Sędzia nie uważa,
Burzy się, puszy, dziwi... „Jestem incognito
Za nie swoim paszportem i tylko z wizytą,
A muszę dalej jechać, ciągle dalej muszę,
Duszę się.” Sędzia chciał już zakląć się na duszę,
Ale po słowie „paszport” spojrzę w krąg, z ostrożną,
Prosi, ale już słabiej, że noc, że nie można...
Hrabia zrozumiał, gorycz oblała go wstrętem:
Musi widzieć się jeszcze dziś z plenipotentem,
Interesy, procesy, konfiskata groźbą,
Musi... Sędzia niechętnie potakuje prośbom.
Gość zwrócił się do Zosi, która siadła cicha:
„A zresztą, może w laurach Laura do mnie wzdycha,
Tęskni nocą, gitary słucha na balkonie”.
Sędzia skinął na Saka: „Niech założą konie.
Siódma, ale jest księżyc”. Zgryzł pestkę gościny.
Lecz Sak, gdy słyszy obce, łacińskie terminy,
Tajny paszport... Sędzięgo zalecenia łamie,
Podchodzi... „Kiedy” – wczepił się palcami w ramię.
„Kiedy?” – szepnął. Lecz Hrabia w dół pochylił skronie...
Sak straszliwą uwagą w twarzy mu utonie,
Rozluźnił palce, nagle w pięść zacisnął twardziej,
Na pięcie skręcił, ruszył prosto – nie mógł hardziej,

Mocniej zakląć czy przekląć, plunąć – drzwi jak w piersi
 Pchnął, runął w sień, butami rumor niósł. O! szczerzy
 Byli ludzie. A Hrabia – głową smutnie kiwał.
 Sędzia krążył przez pokój, nic się nie odzywał.
 Zuł gorycz żółci, charknąć, wyszarpnąć chciał z gardła,
 Z krtani tę limfę wstydu, co mu wewnątrz żarła,
 Rozedrzeć paznokciami, odrzucić... precz za się.
 Zosia cichnie w fotelu, uspokoiła się,
 Błada tak. Wiersz wyrwała żywym skrzepem z piersi,
 Drży z bezsily i zimna, żar odszedł do wierszy,
 Została pustka, niby po sercu, po drzeniu,
 Po młodości tak szybkiej, po czyimś imieniu.
 Hrabia odszedł krok, schylił się nad fortepiano.
 Widzi twarz w czarnym lustrze, czuje woń zmieszana
 Z kurzem dawno nie granych, przetańczonych pieśni,
 Lecz nie śmie tknąć klawiszy, odwrócił boleśniej
 Oczy w blask świec i zaczął: „Jak to u was teraz
 Inaczej, niż bywało i niż jest tam. Nieraz
 Pod nogą grunt tu zadrży, nagle się zatrząsie.
 A może – nie wiem – pękła tylko łąza na rzęsie.
 Może wśród mieczy taniec, gawot świętokradzki,
 Gdzie się stąpa ostrożnie po lustrze posadzki”
 I drgnął, i ścichł, bo ujrzał, ku Zosi się kłoni,
 Jak łąza za łązą parami do szeptu warg goni...
 „Te łązy, ten żal, ten skurcz – pan mówi – to nie boli,
 To nic, to walc, to gawot tylko melancholii,
 I żart, ten krok ostrożny, to gawot w salonie,
 A skroń co chyli się, to ot, tak... w dobrym tonie.”
 Hrabia drżał: „Pani, po tym dzisiaj polonezie
 Nie wiem, jaka muzyka z Polski mnie odwiezie,
 Bo tu rytm wciąż się zrywa. To kontredans raczej
 Galopujących żalów, wirowych rozpaczy,
 To jakiś arcypolski, nowy i nieznany
 Taniec. Błądzą tu wśród was, człowiek zabłąkany...”
 Lecz Sędzia przerwał: „Rzekłeś! Ot, co nam dalekim –
 Człowiek... Mój Boże! że też bywa się człowiekiem...”
 „Tyś Polak” – rzucił Hrabia, ale Sędzia zimniej:
 „Wiem, Polak dziś to więcej dużo, ale – i mniej
 Niż człowiek...” Lecz Hrabia go nie słucha, samotny,
 Patrzy w okno, a kropłe po szybie wilgotnej
 Jak łązy, jak łązy...

Nie słucha, do odjazdu gotów.

Znów sam, znów są odjazdy, a nie ma powrotów,
 Jak łzom. A tętent ciszy wzmaga się i pieni...
 „Konie jadą” – rzekł; wstali, ruszyli ku sieni;
 Już wilgły pałtot wdziewa, sztywną, śmieszoną zbroję,

By samotny odjeżdżać na samotne boje.
Wyszli na ganek – pusto. To tętniło serce,
Chciało wyrwać się. Głucha noc. Sędzia w rozterce
Dla Zosi odszedł szukać futra na ramiona.
Zostali sami. Ciemność. Ciszą nieskończona
Dolem nocy, a górą spokój dumny, szumny
Szeptem morza, szelestem zbóż, aż nad kolumny
Drzew, szum topolowy daleki, polny, wolny.
Stoją sami, słuchają w pustce dookolnej;
W ogrodzie, na obłokach, na ziemi i w niebie
Ciemno, cisza ich słucha zasłuchanych w siebie,
Falą dreszczu, bezwołą, godziną powodzi –
Nieuchronna, powolna, nadchodzi – podchodzi...
Oddech jej pierś cofnął i tchnął ni łzom, ni smutkom:
„Czy bardzo cierpiał?” Ciszą i szept w ciszy: „Krótko”.
A wyżej szum, spokojnie oddechem powiało
Pod niebo, w tę równinę milczącą i białą,
Jakby ktoś uspokoić chciał noc półśmiechem,
Półwestchnieniem, a niebo stawało się echem
I podawało głosy wyżej, coraz wyżej.
Zosia oddech znów wchłonie i słowa przybliży
Do serca. Z odetchnieniem znów na wargach stają:
„Ma grób swój tam?” – „I krzyż ma swój – i brzozę swoją”.
Zosia kolumnę ganku gładzi lekko, lekko,
Hrabia przez mrok na drogę spogląda daleką,
Jak się na tym dziedzińcu okręciła w motek,
Zerwał szarą, potargał wicher-kołowrotek,
Rozplotły się stąd ścieżki przez lasy i ciernie,
Nićmi poszły w świat wątle, długie niewymiernie –
Został motek sam pustym dziedzińcem pod wiatrem,
Jakimś wdeptanym w piasek antycznym teatrem
Bez masek, głuchym. Ale już kłębek Ariadny
Czuł, jemu niepotrzebny. Już labirynt żaden
Nie wróci go, nie odda... Gdzieś pod czarnym laurem
Kiedyś przyjdzie się zmierzyć twarz w twarz z Minotaurem
Ostatecznie – samotnie... Tętni w płucach, w głowie:
To grunt miętko dał echo podziemne podkowie,
To nie serce – świat serca naśladowuje bicie
Pulsem miarowym, równym, mdłym, przedrzeźnia życie...
Koła toczą się kołem, fortuna, odmiana,
Sędzia zniósł popielice, spojrzą i przystaną,
Bo oto kłębem nocy spod zmierzchu siwego
Konie zatoczą koło, dziedzińiec obiegą,
Czarnym, dziwnym widmem wyrosną i wjadą
W elegię pożegnania wolantem – balladą.
Sak wyskoczył, gdy z rąk do rąk szły zimne dreszcze,

Co mówią: Już! Już! chociaż wciąż jest tylko: jeszcze...
Sędzia trząsł się i gościa polecał Maryi...
A Sak podszedł do koni, płaska je po szyi
Na płask dłonią, aż drgania po skórze przebiegły.
Parsknęły, rżną, poczuły żar we krwi uległej.
„Zdrów, zdrów” – Sak woła, klaszcze w kark, szyje odkryte,
Aż targnęły wędzidłem, wrą w piasku kopytem.
Wsiadł Hrabia – zaraz w bieg się poderwały skóre,
W mgłę, w tętent wsiąkło słowo obce „Nevermore”.
Gest ręki odjazd szarpnął i nakrył ją cieniem
Już wbiegł powóz w mrok, w jesień, zatoczył wspomnieniem,
Cichł w echu, w tupotaniu, tętnie głuchym, głuchym,
Zapadł w pustkę, czekali – odpłynął podmuchem.
Noc jeziorowa chłodna, a koła po wierzchu
Kołują, cichną – człowiek utonął w tym zmierzchu.
Ad vitam aeternam... Sak odprowadza żonę,
Ona świecę ujęła w swe palce stulone
W kielich święty i idzie – obrzędem – w pokoje,
Uważna... Sędzia został, zbędny, gdzie ich dwoje.
Zszedł w ogród, liście szepczą, szeleszczą pod nogą,
Idzie w ciemność, samotny, nikogo, nikogo.
Zmylił drogę, przez bruzdy szedł z łomliwym chrustem,
Zaplątał się, wyciągnął, ślepiec, ręce puste
W noc, w wicher. Drzewo zmacał, uchwycił. O! chore
Serce i chora głowa, oparł się o korę.
„Gdzieś jest? Gdzie? Gdzie?” – Ale o kogo to pytał:
Przeszłość? Bóg? Człowiek jakiś? – Oddech ciężko chwycił,
Ruszył znów, liść pod butem szepcze i szeleści.
„Dziwne, jakże się w myślach to słowo pomieści,
Że »byłem«, »byłem«”. Patrzy w siebie zadziwiony,
Potyka się o bruzdy, przelazi zagony,
Niby z innego świata, żal i lęk, i zgroza,
Sad szumi, rośnie, gnije, szumi – a o n p o z a.
Chciał zawołać, przekonać, krzyknąć – nie ma komu.
Szumią drzewa, och, prędeż, byle bliżej domu!
Szum. Spuszczone stawidła nocy, zimie, grozie;
Rwą otchłanie jak wilki po rżysku i mrozie
Wprost w okno jeszcze widne. Ukośną aleją
Może zdąży przed mrokiem, zimnem i zawieją
W światło i ciepło ludzi, w tę codzienność ludzi,
Cmą biegnie, strzygą nocną. Przy oknie się budzi,
Boi się zajrzeć, nie chce szmeru nadać listkom,
Niech nie widzą go. Oddał im tu wszystko, wszystko,
Ale może zakrzykną, może się przerażą,
Gdy dotknie szyby, wejrzy swą prawdziwą twarzą.
Patrzy w ten świat, gdzie wszystko gasło po kolei,

Okiem bez wiary, okiem prawie bez nadziei,
A wciąż okiem miłości, upartej, straszliwej,
Wiernej, wiecznej – bez końca, poza koniec, żywej,
Choć już obcy, daleki. A tych obcych dwoje
W jego dworze, w pokoju – chodzą z tym spokojem...
Gdy on już – obcy... Zosia w krześle przy kominie
Po szyję miękkim, ciepłym szalem się owinie,
Sak chodzi, olbrzym ciężki, jednoręki, cienie
Chodzą obok posłuszne na każde skinienie.
Noc za szybami wzbiera, targa szklaną struną;
Nie obejrzą się nawet, lecz bliżej przysuną.
Faluje międzygwiazdna, międzyplanetarna
Nad otchłań, nieskończoność strasznej, zimniej, czarna.
Zosia obu rękoma podtrzymuje łono –
Pierwszy ruch dziś. O! znowu, znowu drgnęło ono!
Czuwa – iak się w tej pierwszej kolebce kolebie.
Dwa serca i życia dwa, słucha samej siebie.
Sak podszedł, dłoń swą ciężką wyciąga nad ramię
Jej, powoli opuszcza, lżej, listka nie złamie.
Dotknął zupełnie, mocniej. Z dłoni czarnoksiężkiej
Przez żyły płynie spokój poważny i męski,
A on poza źrenice rozszerzył powieki,
Wpatrzył w żar, głębiej, w żużel, w iskrę, punkt daleki,
Aż do drgnienia z dna siebie, aż tam, gdzie się waży
Ziarna życia, z powagą i blaskiem na twarzy,
Uważnie, mocno, jasno i z oczami w dymie
„Jeżeli syn – powie – to mu damy na imię
T a d e u s”.

Cicho było jak na progu zorzy...
A Zosia rękę swoją na dłoń mu położy
Powoli, jeszcze wolniej odgina ramiona,
Podnosi czoło, jasna, twarzą w pół zwrócona
W noc szyb, gdzie wichry jęczą i spokojem gardzą.
Tak uroczyście bardzo, tak spokojna bardzo,
Taka prosta. Powoli podeszła do szyby
Niby cień we mgłę złoty, aż się o nią niby
O mróz, o jęk, o samą noc czołem oparła.
Sędzia cofnął krok w ciemność, uczył strach u gardła
I spazm, bo wtem na szkle tuż złocistym, jak we śnie
Siedem mieczy zobaczył utkwionych boleśnie,
Siedem, a potem twarz jej ciemną, mroczną, czarną
Z blizną łez przez policzek – znów ją mgły ogarną,
Aż z nich przeświecą ręce jej jasnowidzące
Półksiężycem otulające, kołyszące...
Zjeżony strachem cofał krok widząc nad sobą
Zjawę coraz to inną, wciąż jedną osobę.

Jak mgli się, skrzy, objawia w dymnej złotej ramie,
A potem palce głębiej pod serce załamie,
By wydzwigać powagę, nieść apoteozę
Twarzą w twarz wszystkim mrokom, potęgom i grozom
Przyszłości i wieczności...

Pochylił się nisko.

NOTA BIOGRAFICZNA

Tadeusz Makowiecki, syn Zygmunta Makowieckiego, publicysty, działacza społecznego i politycznego oraz Zofii z Wartalowskich, urodził się w Warszawie 27 marca 1900 roku. Z Warszawą i intelektualnym środowiskiem warszawskim związany był aż po rok 1945. Tu uzyskał wykształcenie średnie. Po złożeniu egzaminu maturalnego w 1918 w Gimnazjum M. Reja i po odbyciu ochotniczej służby wojskowej w polskim wojsku wstąpił w 1921 na Uniwersytet Warszawski. Podjął studia z zakresu filologii polskiej i równocześnie z zakresu historii sztuki. Dwoistość zamiłowań i naukowych zainteresowań została w 1927 potwierdzona doktoratem, którego podstawą była rozprawa *Młodzieńcze poglądy Norwida na sztukę*.

Po ukończeniu studiów miejscem pracy T. Makowieckiego stała się Biblioteka Uniwersytecka w Warszawie. Zatrudniony w niej początkowo jako stypendysta Instytutu Bibliograficznego, pełnił następnie funkcję kierownika działu rękopisów i kierownika działu czytelń i czasopism, tę ostatnią łącząc z obowiązkami zastępcy dyrektora biblioteki. Lata międzywojenne, a także okres okupacji przepracowany w Bibliotece Uniwersyteckiej dały T. Makowieckiemu doskonałą znajomość jej księgozbioru. Zaowocowało to w dramatycznych tygodniach listopada-grudnia 1944, kiedy jako jeden z członków ekipy przygotowującej ewakuację zbiorów musiał dokonywać tragicznych wyborów między książkami włączanymi do transportu kierowanego do Rzeszy i pozostawianymi na miejscu na nieuniknione zniszczenie. Ukrył wtedy przed Niemcami liczący około 80 tys. woluminów podręczny księgozbiór uniwersytecki, tak niezbędny i niezastąpiony w początkowej fazie odbudowy stołecznego uniwersytetu.

Praca bibliotekarska to w okresie międzywojennym tylko jedna dziedzina działalności T. Makowieckiego. Równocześnie rozwijał on badania naukowe, współpracował z Towarzystwem Naukowym w Warszawie, z ówczesnymi czasopismami literackimi, z działem literackim Polskiego Radia w Warszawie. Spośród napisanych wówczas prac polonistycznych na pierwszym miejscu stawia się rozprawę *Poeta-malarz. Studium o Stanisławie Wyspiańskim* (1. wyd.: 1935, 2. wyd.: 1969), za którą autor uzyskał nagrodę PAU i która była też podstawą jego habilitacji w 1936. Wśród studiów z historii sztuki największe znaczenie mają prace dotyczące postaci i działalności artystycznej Tylmana z Gameren. Zawarta w nich bogata charakterystyka obiektów architektonicznych przypisywanych Tylmanowi okazała się niezwykle przydatna w okresie powojennej odbudowy i rekonstrukcji zabytków.

W 1945 Tadeusz Makowiecki otrzymał nominację profesorską i podjął pracę na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, w kilka lat później rozpoczął zajęcia dydaktyczne również w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Gdańsku. Jego działalność naukowa skupiła się na dwóch centralnych problemach – na twórczości Norwida i Wyspiańskiego. Poświęcił im kilka bar-

dza pięknych, oryginalnie pomyślanych studiów – *Promethidion*, *Za kulisami Tyrteja* (wspólnie z I. Sławińską), *Fortepian Szopena* (1949), *Norwid a rok 1848* (1952), *Muzyka w twórczości Wyspiańskiego* (1955). Do głównego nurtu zainteresowań badawczych należą również studia nad twórczością Słowackiego. Prace dotyczące innych pisarzy, choć wyszli oni z tych samych, dobrze znanych Makowieckiemu generacji twórców romantycznych i młodopolskich, mają jednak charakter peryferyjny.

Działalności badawczej, wykładom i seminariom uniwersyteckim towarzyszyła oryginalna twórczość poetycka, niezbyt bogata, świadcząca o wielkiej wrażliwości, talencie i niewyzyskanych możliwościach. Zajmował się również Makowiecki poetyckim przekładem, tłumacząc utwory niemieckie, francuskie, rosyjskie. Przekładał także łacińskie utwory Sarbiewskiego.

W ostatnich latach życia odsunięto T. Makowieckiego od prowadzonych dotąd wykładów historyczno-literackich, zastępując je skromnymi zajęciami z bibliografii. Wdrażana właśnie reforma studiów uniwersyteckich sprzyjała zresztą takim zmianom.

Tadeusz Makowiecki zmarł w Toruniu 5 maja 1952 roku.

Biblioteka Główna UMK



300000632705



Siedemdziesiąta piąta
publikacja
Towarzystwa Bibliofilów im. J. Lelewela
w Toruniu

Opracowanie graficzne
Zygryda Gardzielewskiego

Redaktor wydawnictwa
Tadeusz Zakrzewski

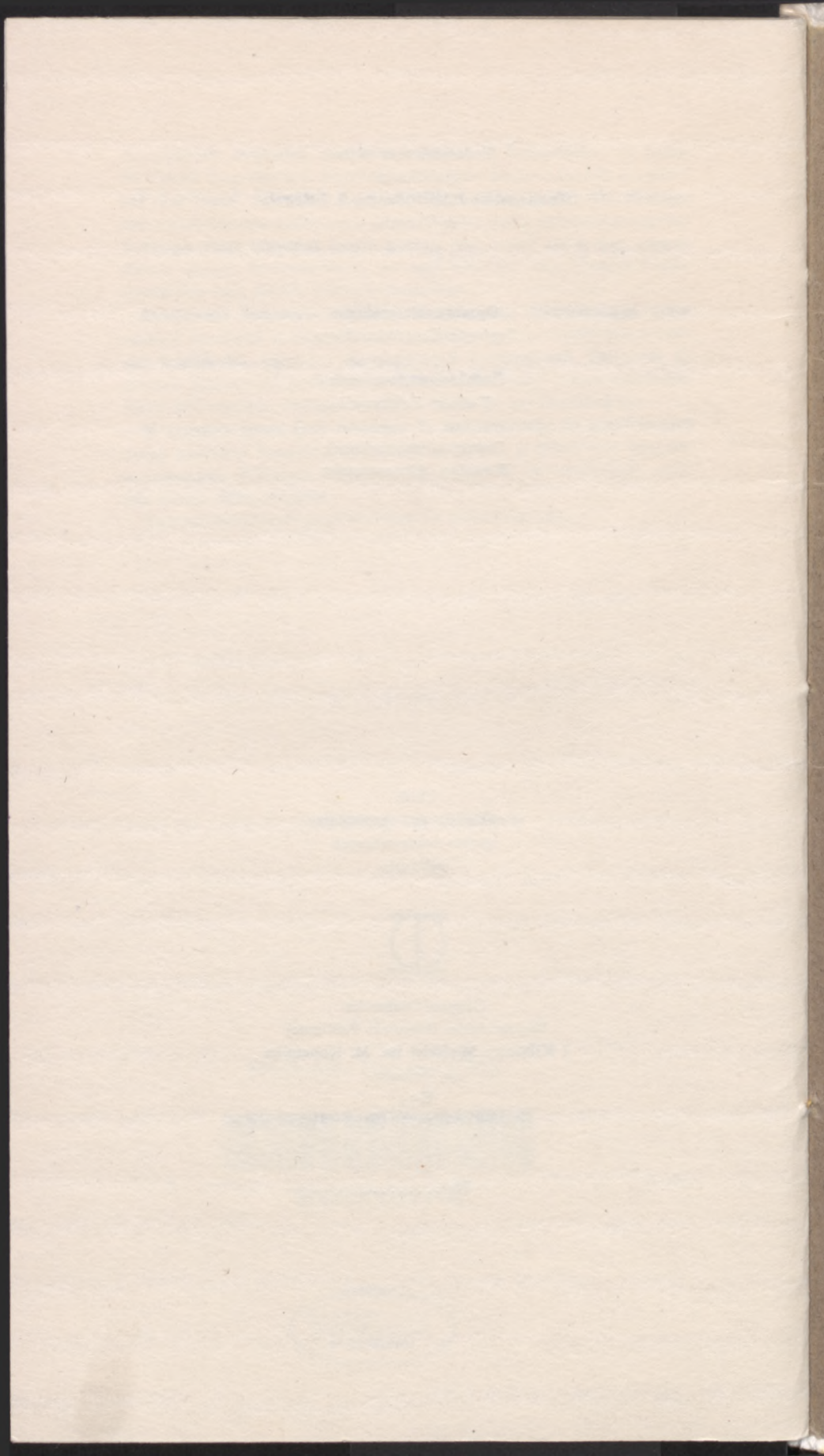
Portret autora wykonał
Stanisław Alexandrowicz

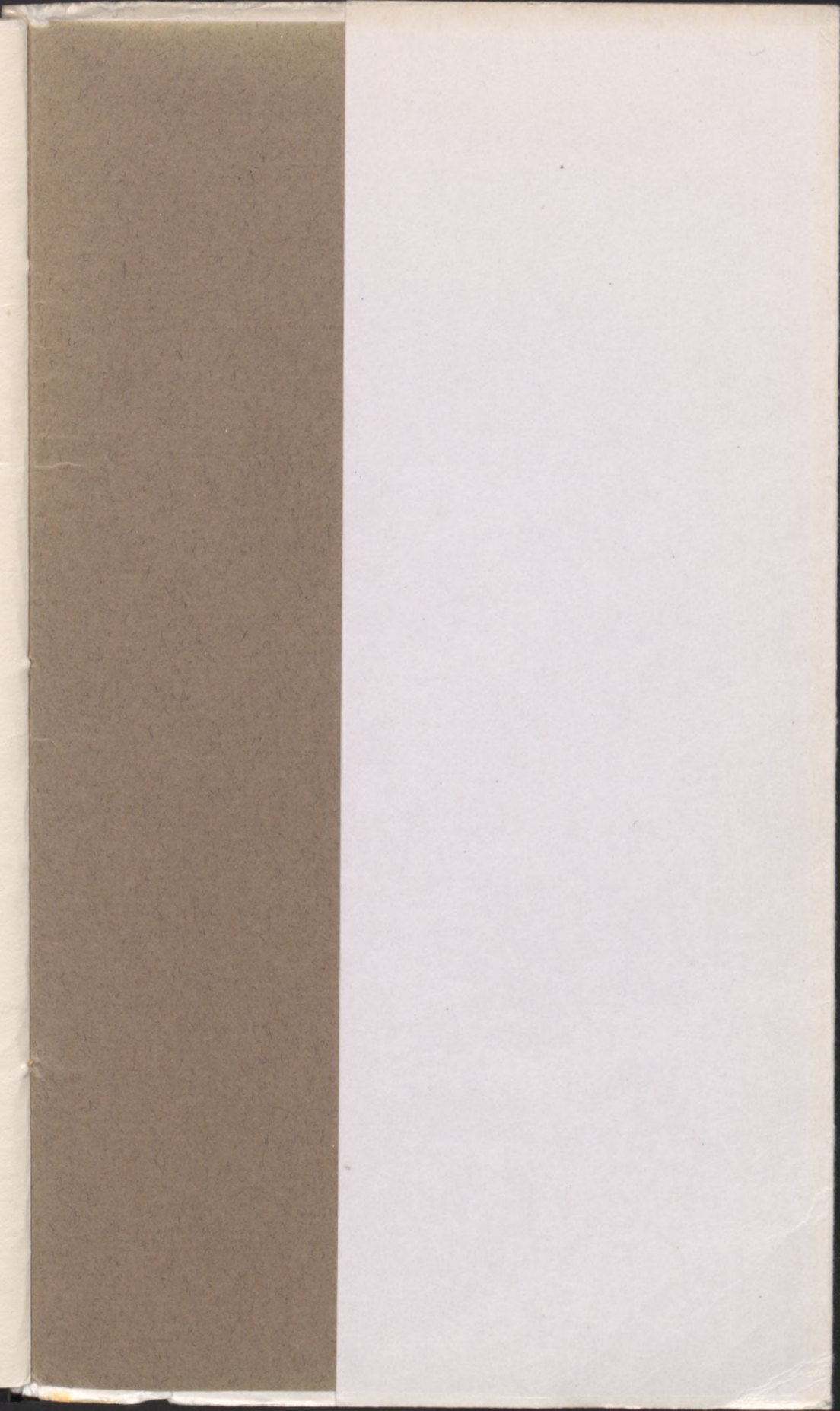
Druk
w nakładzie 300 egzemplarzy
ręcznie numerowanych
wykonała



Oficyna Drukarska
Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej
i Książnicy Miejskiej im. M. Kopernika
w Toruniu
E-13
1988

Nr





Biblioteka
Główna
UMK Toruń

625372